



LESZEK MIESZCZAK

---

# NOC **JEST** DNIEM



LESZEK MIESZCZAK

# NOC JEST DNIEM



PSYCHOSKOK

Leszek Mieszczak  
„Noc jest dniem”

Copyright © by Leszek Mieszczak, 2016  
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o., 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Maja Arsić  
Korekta profesjonalna: Ryszard Krupiński  
Projekt okładki: Maja Arsić  
Ilustracje na okładce: © jeremias münchen - Fotolia.com  
© determined - Fotolia.com

ISBN: 978-83-7900-574-1

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.  
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin  
tel. 63 242 02 02  
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>  
e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

*Nie każdy, którego oczy są zamknięte, śni.  
I nie każdy z otwartymi oczami może widzieć.*

## **ŻYCIE W TRYBIE AWARYJNYM**

Rok 2013 wydawał mi się jakimś dziwnym okresem w moim życiu. Niby życie toczyło się w miarę uporządkowanie do przodu, ale jeśli się tak zastanowię, to tylko czas parł w tę stronę, natomiast ja stałem w miejscu albo cofałem się. Jednym słowem – stagnacja dopadła mnie na wszystkich poziomach. Codzienna jazda do pracy pociągiem była jednym z elementów wpisujących się odmiennością w stosunku do roku poprzedzającego czas terazniejszy, w którym miejsce pracy, firmę na Sarnim Stoku, osiągałem samochodem w 25 minut, słuchając po drodze Radia Bielsko. Podróżując pociągiem, miałem bezpośredni kontakt z ludźmi, którzy rankiem wydawali się pozostawać jeszcze w szponach nocnego letargu, opleceni sennymi ramionami niedospanej nocy. Czas dojazdu wypełniałem sobie czytaniem książek, zwłaszcza że wyposażony w czytnik e-booków wybór miałem przeogromny.

Wszystko układało się wspaniale, dopóki pewnego razu nie upadłem, wysiadając z wagonu. Wyrzucona torba z dużą siłą uderzyła o betonowe płyty peronu. Wstrząs okazał się śmiertelny dla delikatnego ekranu. Po tym upadku wróciłem do tradycyjnej metody czytania książek. Na tapecie miałem powieści Żuławskiego, a zwłaszcza jego ostatnią, trzecią część księżycowej trylogii.

Przez chwilę czułem, jakby czas zatoczył koło i powrócił do młodszych lat, w których wszystko wydawało się barwne i chociaż ludzie lądowali już na księżycu, opowieść

o astronautach, walczących o życie po wystrzeleniu ich z potężnej armaty, a zamkniętych w pocisku, chociaż archaiczna, ciągle wzbudzała mój podziw. Ludzkie dramatyczne przeżycia zawsze pozostają fascynujące i ciągle trwają w wymiarze skumulowanym w jednym punkcie akcji, który nazywa się prozaicznie walką o przetrwanie. Podobnie świat materialny, który nas otacza, był w jednym punkcie skumulowany, aż Bóg postanowił, aby nastąpił wybuch i jego eskalacja we wszystkie strony świata. Chociaż nie znamy zamysłu stworzenia, brniemy w jego stronę, starając się dotrzeć do tego jednego punktu, w którym wszystko się zaczęło. Zaczął istnieć znany nam dobrze czas. Pojawiamy się w nim tylko na chwilę, spotykając tak wiele pokrewnych nam dusz. Dzielimy się z nimi sobą i znikamy za zasłoną, bez możliwości jej przekroczenia. Uczeni dostają się coraz bliżej punktu, w którym materia wystrzeliła swoją żywotnością, a już chcą wiedzieć, co jest za tym punktem, jaki świat roztacza się w tym nieznanym wymiarze Boga. Można sobie zadać pytanie za księdzem Michałem Hellerem: dlaczego istnieje raczej coś niż nic? Ten punkt początkowy zawiera wszystkie dzieje i wszystko, co było, jest i będzie. Każdy z nas posiada ten mały punkt, który łączy go z tym niezmiernym bytem, zapoczątkowanym w naszym materialnym świecie wybuchem. I chociaż materia, z jakiej jesteśmy zbudowani, stanowi maleńki ułamek całości, nie wyobrażamy sobie, jak może wyglądać inny świat, inne życie wzniesione na przykład z ciemnej materii, stanowiącej dwadzieścia sześć procent wszystkiego, w czym przyszło nam żyć. Resztę procent pozostałej części stworzenia wypełnia ciemna energia. W tym wszystkim zawieszona jest nasza Ziemia, gdzieś na peryferiach wszechświata, i tutaj naprawdę można zwątpić, że jesteśmy osią wszystkiego, radością zamysłu Stwórcy.

Z tej perspektywy moja codzienna droga z domu do pracy staje się po prostu niczym. Uzmysłowanie własnej nicości wbiło mnie w siedzenie w pociągu relacji Łodygowice Górne - Bielsko-Biała Północ. Przez brudną szybę spoglądałam co jakiś czas na zewnątrz, upewniając się, ile jeszcze drogi mi pozostało do docelowej stacji. Pociąg z łoskotem wtoczył się na peron stacji Bielsko-Biała Północ i zatrzymał się. Wysiadłem z wagonu. Na zewnątrz świeże powietrze wypełniło moje płuca. Stąd do pracy miałem może z sześćset metrów. Droga biegła przez rondo Solidarności. Marsz staje się błogosławionym i oczekiwanym czasem na przemyślenia po wagonowym czytaniu, zanim zacznie się toczyć zwykły dzień pracy.

Miałem sporo szczęścia, zahaczając się w branży samochodowej w 1993 roku. Firma stanęła u progu bumu motoryzacyjnego, po wyrwaniu się z kleszczy gospodarki komunistycznej. Nowa gospodarka rynkowa otworzyła momentalnie wszystkie kierunki rozwoju ogarnięte dotąd reglamentacją. Człowiek stawał się wolny, natomiast w innym tego słowa znaczeniu zaczynało się nowe niewolnictwo: niewola pieniądza, posiadania i manii wielkości, która doprowadziła w bardzo szybkim czasie do wynaturzeń. Przybywało nowobogackich, podczas gdy sfera biedy obejmowała szerszą część społeczeństwa. Ceny zachodnie, a zarobki wschodnie oddalały biedną część społeczeństwa od zdobyczy nowego systemu, który, jak zwykle, okazał się w dużej mierze niesprawiedliwy. Ci, co zyskali więcej, nie mieli zbytniej ochoty na dzielenie się z resztą społeczeństwa. Nagle, jak grzyby po deszczu, zaczęły wyrastać fortuny, rozwijać się przedsiębiorstwa, państwowe zakłady za bezcen wpadały w ręce nomenklatury, która nagle znów stawała się klasą wiodącą w nowym kapitalistycznym ustroju.

W tym wszystkim znajdowałem się ja. Zmierzałem jak zwykle rankiem do pracy. Stanowiłem, jakby nie było, jeden z elementów

właśnie takiego świata, tej obecnej chwili. Uczestniczyłem w tym procesie od pięćdziesięciu trzech lat. Szukałem swojego miejsca, celu swojej egzystencji i jakoś w tym roku wszystko wydawało mi się bezsensowne.

Po ośmiu godzinach pracy, trochę wymęczony, opuszczałem serwis samochodowy VW Audi z małą dozą optymizmu, że może dzisiaj coś się zmieni w moim życiu. Ale co miało się zmienić? Słońce świeciło, wiał lekki wiatr. Do odjazdu pociągu miałem jeszcze 38 minut. Naprzeciw firmy znajdował się market, który popołudniami ożywał, a ludzie jak mrówki czujące w pobliżu jakąś zdobycz, wytyczonymi szlakami przedostawali się do wnętrza, zaspokajając własne zapotrzebowanie na materialne produkty swojej cywilizacji. Zwłaszcza w niedzielne dni „kościół” ten wypełniał się niczym materialne sanktuarium współczesnego człowieka. Całymi rodzinami wypełniał się pasaż handlowy i przylegające do niego sklepy. Dzisiaj była środa, więc market nie sprawiał świątecznego wrażenia pikniku rodzinnego.

W niecałe trzy minuty znalazłem się na końcu pasażu, gdzie mieścił się sklep empiku, najbliższa w zasięgu księgarnia. Zapach woluminów zawsze nastrojał mnie dobrym samopoczuciem. Lubiłem snuć się między regałami w poszukiwaniu książkowego rarytasu. Przeszukałem regały z nowościami, a później przesunąłem się bliżej półek z filozofią i religią. Za ladą stała uśmiechnięta pani, która latem zeszłego roku zaoferowała mi pomoc w postaci większej ilości reklamówek, do których mogłem zapakować moje książki ofiarowane na piknik szkolny jako fanty w loterii zorganizowanej przez Komitet Rodzicielski. Zabawa zresztą należała do udanych.

Wracając do książek, w oczy rzuciły mi się dwie pozycje ks. Michała Hellera: „Filozofia przypadku” i „Logos wszechświata”.



Przewertowałem z grubsza raz jedną, a raz drugą i spojrzałem na cenę. Mój portfel wydawał się jednak zbyt pusty, abym mógł sobie pozwolić na zakup chociaż jednej z tych pozycji. Musiałem zadowolić się dziesięciominutowym czytaniem dzieła. Pozostała mi jeszcze biblioteka, ale dzisiaj nie miałem już czasu. Musiałem poczekać na następny raz, kiedy w pracy zjawię się moim samochodem i podjadę do Książnicy Beskidzkiej albo do którejś z jej filii.

Od wydania ostatniej mojej książki minęły już trzy lata. Trzy długie lata, a ja, zamiast zająć się kolejnym dziełem, trwałem w przysłowiowym bezruchu. Wszystkie pomysły odpłynęły, nowe nie odnajdywały drogi do mojego umysłu. Moja dusza też się gdzieś szwendała, poddając się jakiejś niemocy. Być może jedną z przyczyn całej stagnacji był brak wyraźnej zwyczajności w sprzedaży moich książek. Trzy pozycje wydane z takim trudem zalegały na półkach, a czwarta nie mogła odnaleźć na rynku wydawniczym swojego wydawcy. Pierwszą myślą, jaka przychodziła mi do głowy, było to, że są po prostu do kitu. Nawet antologia wydana przez Wydawnictwa Biblioteki Uniwersyteckiej nie poprawiała mi humoru. Próbowałem sam zrobić jakąś reklamę, ale przy moich zarobkach było to poza zasięgiem. Prawda, potworzyłem jakieś strony internetowe, założyłem bloga, konto na Facebooku, ale ciągle nie byłem znany, a moje słowa przedostawały się do uszu i oczu czytelników na nielicznych wieczorach autorskich. Ostatni w restauracji BLU, zorganizowany z grupą artystyczną „na przekór”, do którego zaangażowałem również syna ze skrzypcami i jego koleżankę, która grała na fortepianie, zakończył się klęską. Może nie całkiem, ale jego znaczenie okazało się niewielkie. Wąskie grono odbiorców było całkiem sympatyczne, jednak awaria sprzętu i słabe nagłośnienie nie przyniosło żądanych efektów.

W drodze powrotnej na dworzec obmyślałem kolejne posunięcie. Postanowiłem rozprowadzić moje książki po okolicznych bibliotekach. Już kilka z nich odwiedziłem, pozostawiając swoje „arcydzieła” w poczet zwiększenia okazałych zasobów tychże czytelni. Maszerowałem spokojnym rytmem, ale tak naprawdę w moim życiu utknąłem w martwym punkcie. Wyglądało to, jakbym w zimie zakopał się samochodem w okazałej zaspie. Szarpałem autem w przód i w tył, a pojazd ani drgnął.

Przypominałem sobie, że jakąś ulgę przynosiły wycieczki po górach z moją żoną i przyjaciółmi. Marsz, chociaż wykańczał fizycznie, w jakiś sposób dowartościowywał mnie rozmowami, widokiem pięknych miejsc stworzonych przez Boga, właśnie tak jak to sobie wymyślał, kiedy postanowił w swojej nieskończonej matematycznej głowie napisać wzór, który określił wszystko, co zobaczyłem. Jednak my ludzie staramy się zawsze ten wzór zepsuć, dodając do niego fatalne w skutkach niewiadome własnej wolności, którą zresztą sam nam podarował.

Zastanawiałem się nad sobą. Być może za mało pracowałem, ale jak pracować, jeśli nic do głowy rozumnego nie przychodzi? W pracy otoczony samochodami, w domu zajęciami, które potrzebne są do podtrzymywania egzystencji, z ledwością wyszarpywałem trochę czasu, trwoniąc go na bezcelowe przeglądanie Internetu, nie przynoszące żadnego dodatkowego bodźca, który mógłby uruchomić lawinę myśli i zdarzeń prowadzących do twórczego niepokoju i wytworzenia dzieła, którym byłbym zachwycony.

Kolejne wspomnienie. Latem ze znajomymi odwiedziłem wspaniałego człowieka, poetę, od którego mógłbym się wiele nauczyć. Juliusz Wątroba okazał się takim załączkiem ekspresji, humoru i wyjątkowej witalności. Pomimo przebytej choroby, która odcisnęła się na jego ciele, tryskał radością, pokazując świetlistą

stronę swojej duszy. Jakże mi dużo brakuje do niego i stylu, chociaż ten powinien być inny, jak i zacięcia do pisania. Wydanych dwadzieścia siedem tomików świadczyło o potędze jego słowa. Trudno, każdy jest inny, mimo to jakaś iskra po tym spotkaniu się we mnie zapaliła, ale ciągle brakowało mi katalizatora powodującego samozapłon. Tęsknię za czasem, kiedy słowa garnęły się do moich myśli.

## ŚLEPY TRAF

Maszerowałem w zamyśleniu, nie zwracając uwagi na nic, poza moimi wizjami pojawiającymi się i niknącymi, jak pędzące chmury na nieskazitelnym błękitnie nieba. Nagle wpadłem na kobietę wędrującą wąskim chodnikiem w przeciwnym kierunku. Spojrzałem w jej niebieskie oczy z zażenowaniem, a z ust wydobyłem bardzo szybko słowa przeprosin. Chwilę patrzyła na mnie, kręcąc głową, jakby chciała mnie skarcić za moją nieuwagę. Nic nie odpowiedziała, wymijając mnie szybko, jakby się bała. Maszerowała dalej, kierując się w stronę ronda.

Znajdowałem się już blisko mostu i schodów prowadzących na peron. Parę osób jak zwykle oczekiwało już na płycie oddzielającej tory, po których mijały się pociągi jadące do Bielska i do Katowic. W dole na peronie zieleń wdzierała się ze wszystkich stron. Minąłem dwóch mężczyzn i starszą panią. Teraz pozostawało tylko oczekiwanie na pociąg. Na tym dworcu nie było głośników, więc czekanie przypominało wynik równania z dwiema niewiadomymi. Wynik jako trzecia niewiadoma pozwalał mi spokojnie wyciągnąć słuchawki z teczki i posłuchać nagranych w telefonie audycji ks. Hellera, dotyczących nauki i religii, noszących tytuł „Drogami ludzi myślących”. Na jednej z tych niezliczonych dróg znajdowałem się właśnie w tej chwili. W historii świata tylko terażniejszość jest najważniejsza. Tu i teraz jest sednem wszystkiego, centrum wszechświata, centrum Jego wszechświata, a czas służy tylko do poukładania chronologii

zdarzeń będących terazniejszością. One uruchamiają płynięcie wszystkiego od minus nieskończoności do plus nieskończoności.

Stałem tak zasłuchany w słowa profesora, że nie zauważyłem wtaczającego się po torach na stację składu wagonów. Podbiegłem w końcu do jednych z drzwi i nacisnąłem guzik otwierający. Dopiero za drugim naciśnięciem podwoje wagonu stanęły otworem. Mogłem swobodnie przejść do jego wnętrza. Rzeński chłodek klimatyzacji przeniknął moje ciało od głowy i rąk do stóp. Odechnąłem na chwilę i rozejrzałem się w poszukiwaniu miejsca do siedzenia. Nie mogąc znaleźć żadnego, ruszyłem w głąb wagonu, omiatając spojrzeniem pasażerów wygodnie już siedzących i oddających się własnym sposobom umilania czasu podróży. Wreszcie znalazłem wolne siedzenie w głębi wagonu. Nie namyślając się wiele, podszedłem bliżej.

— Przepraszam, wolne? — zapytałem, kierując wzrok na siedzącą przy oknie panią.

— Oczywiście — usłyszałem ciepły głos, który dziwnie poruszył moje struny wewnętrzne, moje ukryte ja.

Usiadłem wygodnie, lokując swoją teczkę na kolanach. Otworzyłem ją i wyciągnąłem niewielką książkę z wierszami ks. Twardowskiego. Przypomniałem sobie zaraz mój referat, który przygotowałem o jego twórczości do Klubu Poetów przy Bibliotece Uniwersyteckiej. Nie mogłem wtedy uczestniczyć w dyskusji i spotkaniu w Warszawie, ale z relacji przyjaciół dowiedziałem się, że odbyły się dwa. Obydwa poddane zostały krytyce i porównaniu. Niestety, o szczegółach nie dowiedziałem się zbyt wiele. Tak to bywa, jeśli nie może się być osobiście na takim spotkaniu i nie może się stawić czoła krytyce swoich słów, ocen i sposobu ukazania arcyzmu zawierającego się w prostocie słów autora, którego zresztą bardzo ceniłem.

Pociąg ruszył, a ja zająłem się czytaniem jego słów. Co jakiś czas zerkałem przez okno na mijające krajobrazy. W czasie tych spojrzeń mój wzrok zaczepiał się dyskretnie co jakiś czas na twarzy mojej sąsiadki. Na bladej cerze odbijało się świecące dzisiaj słońce, które podczas niektórych zakrętów grzęzło w tej białej jak kreda skórze. Tylko ciemne okulary wyraziście kontrastowały z tą jasnością. Ciekawy byłem, jakie oczy kryją się za czarną taflą szkiele? Siedziała bardzo spokojnie. Nie chciałem opuścić chwili, kiedy się ruszy lub poprawi oprawki zasłaniające, jakby nie było, część jej twarzy, dlatego zerkałem na tekst i z powrotem na nią. Nie miałem pojęcia, skąd nagle wzięło się we mnie zainteresowanie jej osobą. Biała bluzka z krótkim rękawem zapięta prawie pod samą szyję uwydatniała kryjące się pod nią wdzięki prawdziwej kobiety. Spojrzałem mimo woli w dół. Spod brązowej spódnicy wystawały równie blade jak twarz kolana. Nagle obok jej ciała, przyciśniętą do ściany wagonu, dostrzegłem niezwykłą białą laskę, taką, jakich używają niewidomi przemieszczający się czasem ulicami miast lub na filmach, jakie z ich udziałem widziałem w kinie czy telewizji. Po tym odkryciu zrobiłem głupią minę i wróciłem do czytania Twardowskiego.

Mijaliśmy kolejną stację. Były to chyba Leszczyny. Coś strzyknęło mnie w biodrze tak, że podskoczyłem, trącając niechcący siedzącą koło mnie kobietę. Nie wiem, co to było, ale trwało tylko chwilę. Od razu odwróciłem się w jej stronę z przeprosinami.

— Bardzo przepraszam panią.

— Nic nie szkodzi — odpowiedziała szybciotko, nie odwracając w moją stronę twarzy. — Jestem uodporniona na wszelkiego rodzaju stłuczki — dodała po chwili dźwięcznym głosem.

Spojrzałem między siedzenia. Torebka, którą jeszcze chwilę temu widziałem na jej kolanach, zsunęła się na podłogę, a wraz

z nią z otwartego wnętrza zaczęły wypadać niewielkie przedmioty, rozsypując się wokół z niewiarygodną szybkością. Ogarnęło mnie zdziwienie, że aż tyle tego mieściła w sobie. Nie namyślając się wiele, ruszyłem w jej kierunku, aż tu nagle moja głowa uderzyła w głowę mojej sąsiadki. Oboje chyba poczuliśmy nieznośny ból, prostując swoje ciała do pozycji siedzącej. Dopiero po chwili, kiedy minął na naszych ustach pierwszy grymas, pojawił się uśmiech.

— Przepraszam, znów coś narozrabiałem, ale chciałem tylko pomóc pani podnieść torebkę. Powinienem zauważyć, że pani robi to także. Chyba szybciej działałem, niż myśle.

— Och, to ja pana przepraszam — szybko zripostowała moje przeprosiny miłym, słodkim głosem.

— Proszę się nie martwić, ja wszystko zaraz pozbięram.

— Bardzo pana proszę — zaczęła, zmieniając ton głosu na bardzo proszący. — Niestety, nie widzę i miałabym trudności ze znalezieniem wszystkich przedmiotów. Zawsze trzymam zapiętą torebkę, nie wiem, skąd wzięła się moja niefrasobliwość — próbowała się tłumaczyć.

— Już pani pomagam.

Zacząłem od penetrowania podłogi wokół naszego siedzenia. Od razu chwyciłem torebkę lewą ręką, a prawą zgarniałem rozsypane przedmioty, pomadki, szczotkę do włosów, klucze, krem i Bóg wie jeszcze co. Spojrzałem na klucze, które zostały zapięte na metalowym breloczku z napisem „Nie wstydzę się Jezusa”. Najdalej leżał mały notesik. Nie miałem pojęcia, jak mógł się tak daleko poturlać, był przecież prostokątny i płaski. Do tego się otworzył, a ja spojrzałem mimowolnie na zapisane w nim słowa. Nie chciałem ich czytać, przecież te słowa nie należały do mnie, stanowiły tajemnicę jej właścicielki. Akurat na tej stronie znajdowały się tylko telefony. Upewniwszy się, że spakowałem już

wszystko, podniosłem się z podłogi i z uśmiechem wręczyłem torebkę prosto w jej dłonie. Mój kretyński uśmiech zniknął, kiedy przypomniałem sobie, że jej właścicielka nie widzi.

— Proszę sprawdzić, czy wszystko się znalazło — zaproponowałem, trzymając jeszcze w ręce torebkę. Upewniwszy się o jej mocnym przechwyceniu, zabrałem dłonie.

Przejęła torebkę, uśmiechając się. Prawą rękę włożyła do środka, przerzucając przedmioty i upewniając się, czy aby wszystko znalazłem.

— Ogromnie panu jestem wdzięczna, wszystko w porządku. Jeszcze czasami bywam taka niezdarna i niezaradna.

— Każdemu się zdarza — odparłem. — Nie tak dawno wywaliłem pół zawartości teczki na peron i w dodatku zniszczyłem sobie czytnik książek, który pierwszy wypadł z hukiem na betonowy krawężnik.

— Pani podróżuje sama? — zapytałem, starając się dowiedzieć czegoś więcej o mojej chwilowej towarzysze podróży.

— Od niedawna jeżdżę sama.

— Jak pani daje sobie radę? — zapytałem szybciotko z niedowierzaniem.

— Moja siostra mieszka w Pszczynie niedaleko dworca. Urodziła malutkiego dzidziusia, teraz jest już duży, ale nie może już przyjeżdżać do mnie tak często jak kiedyś. Wie pan, ile pracy jest, kiedy pojawiają się dzieci?

— Wiem, miałem okazję tego doświadczyć z dziećmi, a teraz z wnukami.

— O, to ma pan doświadczenie. Po głosie myślałam, że jest pan młody — przerwała moją chęć poszerzenia wypowiedzi. — Koleżanka odprowadza mnie na pociąg w Żywcu, a w Pszczynie siostra. Tak to wygląda, ale coraz lepiej się orientuję w przestrzeni



wagonu i stacji — rozgadała się, jakby do tej pory była zamknięta w wymiarze własnej klatki, o ścianach nie do przeniknięcia, oddzielającej ją od reszty świata, a zahaczywszy się o moją osobę, wydostała się z niej bez żadnych trudności, uzewnętrzniając swoją otwartą na innych osobowość.

Miałem ochotę zapytać o przyczynę jej ślepoty, jednak nie odważyłem się. Dlaczego miałyby mi o tym opowiadać, facetowi przypadkowo spotkanemu w pociągu relacji Katowice–Zwardoń?

— Jaką już stację minęliśmy? — zapytała, dodając — rozkojarzyłam się zupełnie zająciem z moją torebką i straciłam poczucie orientacji w przestrzeni mojej podróży.

— Właśnie wyjeżdżamy z Wilkowic — oznajmiłem, upewniając się, że to prawda.

Sam potrzebowałem uzmysłowić sobie, w którym miejscu trasy się znajdowałem. Na następnym postoju musiałem już wysiąść.

— Daleko pan jedzie? — zapytała, jakby uprzedzając moje słowa, które już przygotowywały się do opuszczenia moich ust.

— Właśnie chciałem pani powiedzieć, że na następnej stacji muszę wysiąść.

— W Łodygowicach Górnych?

— W Górnych, tutaj mieszkam — wyznałem, ni stąd, ni zowąd. — Miło mi było panią poznać. Do widzenia — odrzekłem i zaraz zrobiło mi się głupio. Przecież ona mnie nie widzi.

— Dziękuję za pomoc z moimi kłopotami — odpowiedziała, a na jej ustach pojawił się uśmiech. — Z pewnością chciałybym pana zobaczyć — zripostowała delikatnie moją poprzednią wypowiedź i pożegnanie. Przecież nie mogłem powiedzieć: do usłyszenia.

Schowałem książkę do teczki, wstałem z siedzenia i ruszyłem w stronę wyjścia. Pociąg jeszcze jechał, trzymałem się drążka

i jeszcze raz spojrziałem w jej stronę. Twarz zwrócona była w moim kierunku, jakby odprowadzała mnie wzrokiem, chociaż nie mogła tego robić z oczywistych względów. Pociąg zaczął hamować, a wraz z nim wszyscy pochyłali się do przodu. Ktoś nacisnął guzik otwierania i drzwi się otworzyły. Po kilku krokach znalazłem się na peronie.

Rozejrzałem się, czy ktoś ze znajomych także nie wysiadł z tego pociągu. Nie było nikogo, ale mimo woli spojrziałem na wagon, z którego wysiadłem. Mój wzrok poszukał okna z niewidomą. Jej twarz była zwrócona w stronę szyby. W tym momencie pociąg ruszył. Odwróciłem się w kierunku drogi i pomaszerowałem do domu. Po drodze naszała mnie myśl, jak rozumieć moje spotkanie z tą kobietą. Chociaż rysy twarzy już rozplywały się w mojej pamięci, widziałem czarne włosy sięgające ramion, okulary zasłaniające skutecznie oczy i tym samym część twarzy, pęk kluczy z brelokiem „Nie wstydzę się Jezusa” i dziwne wrażenie nie pozwalające przejść obojętnie obok tego całego zdarzenia.

W domu, po obiedzie i kilku pracach w ogrodzie, wróciłem do pokoju, otwierając laptopa. Włączyłem Internet i w wyszukiwarce wpisałem hasło z breloka. Pojawiła się strona z tą samą sentencją. Na awersie widniał krzyż, a tuż pod nim napis: „Nie wstydzę się Jezusa”. Rewers natomiast zawierał cytat z ewangelii św. Mateusza: „Kto się Mnie zaprze przed ludźmi, tego zaprę się i Ja przed moim Ojcem”. Wymowne słowa tej sentencji odbiły się głębokim echem w moim wnętrzu. Pomyślałem, że warto byłoby kupić moim wnukom coś tak ważnego.

Potem wpadłem na Facebooka, przeglądając ostatnie posty, ale nic ciekawego nie zwróciło mojej uwagi. Dochodziła dwudziesta druga, dzień dobiegał końca. Zwykłe sprawy tego dnia, jakie dzisiaj się pojawiły przede mną, potwierdzały moje odczucia

odnośnie jakiegoś wewnętrznego wypalenia, zastoju moich zasobów energetycznych i twórczych. Pracowałem, odpoczywałem, a wszystko jakby bez wyraźnego celu i zapału.

Dzisiejsze zdarzenie z pasażerką pociągu wzbudziło we mnie niepokój. Nie byłem pewny, czego właściwie on dotyczył, jednak pojawił się na jakąś chwilę i zniknął. Tak mi się wydawało, kiedy układałem się do spania późną nocą.